

## **Bartosz Jastrzębski: Przeciw oryginalności**

Zapychamy rozgrzaną gardziel woli czym się da, lecz ona nadal chce więcej. Siły, czas i życie znikają w niej jak w czarnej dziurze. Taka jest bowiem jej natura – im więcej dostaje, tym więcej pożąda. Kiełznanie jej urasta dziś do rangi prawdziwej sztuki życia. „Umartwienie woli” musi stać się przeto naczelnym postulatem moralnym i głównym ćwiczeniem duchowym nadchodzących dekad – pisze prof. Bartosz Jastrzębski w odpowiedzi na list Krzysztofa Dorosza.

*Celem człowieka nie jest bycie oryginalnym, ale bycie ludzkim.*

*To zaś wymaga odwołania się do właściwego modelu i jego  
naśladowanie[1]*

Irving Babbitt

Krzysztofie drogi!

W Twym ostatnim liście nie ma chyba zdania, pod którym nie mógłbym się z czystym sumieniem i pełnym przekonaniem podpisać. Pięknie i trafnie opisałeś ponurą dialektykę demokratyczno-liberalną. Istotnie bowiem: z jednej strony społeczeństwa hołdujące demoliberalizmowi dokładają wszelkich starań, by „wyrównać”, zunifikować, sprowadzić wszystko i wszystkich do najmniejszego wspólnego mianownika, na przykład jakiejś abstrakcyjnej idei „ludzkości” (czy – tak jak dzisiaj – „europejskości”). Charakterystyczne dla wszelkich demokracji jest

właśnie owo zacieranie różnic: w końcu raz na zawsze wszyscy mają być równi! Maskuje się więc – bo przecież nie eliminuje – odmienności stanowe, moralne, intelektualne, płciowe, historyczno-kulturowe, językowe i dialektalne, partykularyzmy regionalne i narodowe i co tylko tam kto jeszcze znajdzie. We wszelkiej różnicy – zakłada się tu – czai się bowiem podstępnie dyskryminacja i dominacja, czyli struktury władzy i siły, a wraz z nimi przemoc. Dlatego też masz być wprowadzie wolny, ale zarazem taki jak inni. Wszelka nierówność staje się bowiem w oczach demokratów wyniosłością, hierarchicznością i – to już najgorsze słowo, prawdziwa zgroza i jądro ciemności – autorytaryzmem, przypominającym dawne porządki arystokratyczne albo nawet feudalne.

Z drugiej jednak strony taka „urawniłowka” demokratyzmu jest czymś głęboko sprzecznym z przyrodzoną, ludzką chęcią indywidualizacji, wyodrębniania się, przodowania – dialektycznie wywołuje więc kompulsywne a rozpaczliwe poszukiwanie oryginalności i niepowtarzalności, za wszelką nieraz cenę. To z kolei generuje w społeczeństwach demokratycznych nieprzeparte ciągoty do różnych „indywidualizujących” dziwactw i ekstrawagancji. Dlatego też w pewnym sensie pojęcie liberalnej demokracji to oksymoron: wszak demokratyzm to postulowana równość, liberalizm zaś – wolność. A przecież tam, gdzie więcej wolności, tam też z konieczności ujawniają się coraz ostrzej naturalne różnice – nawet kontrasty – między ludźmi. Nie można mieć przeto tych dwóch rzeczy naraz. By zatem zachować równość, trzeba z konieczności ograniczać wolność; znowuż wspierając konsekwentnie wolność, trzeba, w dłuższej perspektywie, zapomnieć o równości – nieuchronnie ona zaniknie. Stąd chyba niepokojące zjawiska, o których piszesz: z jednej strony rozmaite szaleństwa egofanii, indywidualnego rozwoju, samorealizacji oraz prawa do nieograniczonego samostanowienia, nieskrępowanego zarządzania

sobą i kreowania własnych obrazów świata. Z drugiej zaś strony mamy zawziętą nienawiść do wszelkiego autorytetu, do wszystkiego i wszystkich, którzy nie uczynili bożka z równości i ośmielają się wskazywać na wyjąławiające, szkodliwe cechy całkowitej uniformizacji i homogenizacji życia, charakterystycznej właśnie dla demokracji. Stąd też – wezmę przykład z dziedziny kultury – dostrzegamy ogromny przyrost ilościowy najrozmaitszych dzieł i wytworów, przy radykalnym jednak pogorszeniu ich jakości. Celnie i z właściwą sobie elegancją i delikatnością pisał o tym Tocqueville:

Kiedy nie ma już dziedzicznych majątków, przywilejów klasowych i prerogatyw, jakie daje urodzenie, i kiedy każdy człowiek może liczyć tylko na własne siły, staje się oczywiste, że podstawowym czynnikiem, który stwarza różnice majątkowe, jest ludzka inteligencja. [...]. Z chwilą gdy masy zaczynają się interesować życiem umysłowym, przekonują się, że jednym ze znakomitych sposobów zdobycia sławy, siły i bogactwa jest osiągnięcie mistrzostwa w jakiejś jego dziedzinie. Zrodzone ze stanu równości niespokojne ambicje szukają zaspokojenia i tutaj. Liczba uprawiających naukę, literaturę i sztuki ogromnie wzrasta. [...]. Każdy człowiek toruje sobie drogę i czyni wysiłki, by zwrócić na siebie uwagę [...]; poszczególne dokonania są często niedoskonałe, ale ich liczba jest nieprzebrana[2].

Ten sam mechanizm degradacyjny odnajdujemy także w edukacji czy życiu politycznym: im więcej młodzieży studiuje, tym bardziej musimy wyrównywać – a więc obniżać – standardy kształcenia. Inaczej większa część studentów po prostu nie podołałaby programowi. Programy zatem ciągle upraszczamy, okrajamy, „dostosowujemy do potrzeb społecznych” – w takiej zaś sytuacji powoli, acz nieuchronnie, umiera

wyższa edukacja, a wraz z nią cała wysoka kultura. Podobnie w życiu politycznym: jako że mogą w nim uczestniczyć (teoretycznie) wszyscy, poziom debaty i kultura polityczna obniżają się do najsłabszego zdolnościami i pojmowaniem elektoratu – mechanizm utraty jakości na skutek zwiększania zakresu jest pewnym niczym prawidłem matematycznym. Demokracja, uniformizując wszystkich, wszystkich też zmusza do najbardziej drapieżnego wyścigu – i to podejmowanego wciąż od nowa. Inaczej bowiem szybko ukształtowałyby się nowe autorytety i nowa hierarchia. A do tego demokracja dopuścić nie może.

*Demokracja, uniformizując wszystkich, zmusza też ich do najbardziej drapieżnego wyścigu. Inaczej szybko ukształtowałyby się nowe autorytety i nowa hierarchia. A do tego demokracja dopuścić nie może*

Wróćmy jednak do

pragnienia „egofanii” i będącej jego skutkiem nadprodukcji twórczej. Owa przykra nerwica natręctw każe się ludziom uzewnętrzniać i odróżniać za wszelką cenę, szukać rozpoznawalności i poklasku, potwierdzać swą oryginalność (by wynurzyć się z anonimowego tłumu podobnych sobie), a równocześnie nie dopuszcza ona do świadomości realistycznej oceny faktycznego różnicowania cech i talentów poszczególnych jednostek. Bez końca się porównując i rywalizując z innymi o bycie zauważonym i docenionym, człowiek współczesny z konieczności pogrąża się w głębokiej izolacji i dezorientacji – tym bardziej, iż zewsząd powtarza się mu, że wszelkie kryteria oceny

moralnej i estetycznej są relatywne: obowiązują zależnie od chęci, okoliczności i zdolności ich narzucenia innym. W efekcie ufa on tylko sobie i tylko na sobie polega – tak mu się przynajmniej wydaje, jako że nie jest świadom subtelniejszych perswazji – nie dowierza nikomu, nie uznaje żadnych tradycyjnych autorytetów, nie wierzy w niczyje czyste intencje, nie chce znać ni dawnych mędrców, ni świętych, często staje się też podejrzliwy, cyniczny i wyrachowany. Czy zatem autorytet rzeczywiście znika z jego życia? Ależ nie, to niemożliwe, zastępuje go jednak medialna papka, płynąca z wybranego przezeń medium, głoszona przez medialnych „ekspertów”, pyszałkowatych celebrytów i lewicowych intelektualistów. Nadal wierzy innym, ale owych innych wybiera lekkomyślnie i niechlujnie. A przecież, jak trafnie zauważa autor *O demokracji w Ameryce*:

Prawdą jest, że człowiek, który wierzy innym na słowo, oddaje swój umysł w niewolę, lecz jest to niewola zbawienna, która pozwala czynić dobry użytek z wolności. W świecie intelektualnym i moralnym musi więc istnieć zasada autorytetu. Autorytet może być różnie umiejscowiony, ale jest niezbędny. Indywidualna wolność może być większa lub mniejsza, ale nie może być nieograniczona[3].

Nieuchronnie zagadnienie wolności wiedzie nas zatem do problemu braku właściwych autorytetów w dzisiejszym świecie. Ostatnie spośród nich – polityczne, społeczne, kulturalne i religijne – nikną na naszych oczach niczym śnieg w słońcu. Tak zwana „krytyka lewicowa” lub „polityczna” nie ustaje w wysiłkach obnażania, kompromitowania, zohydzenia i opluwania wszystkiego, co kojarzy się z autorytetem i mogłoby jeszcze ewentualnie taką funkcję pełnić. Zwłaszcza religia i Kościół są dzisiaj przedmiotem zażartej, skondensowanej nienawiści,

bo właściwie już tylko ludzie religijni – kapłani i świeccy – gotowi są wprost bronić autorytetu, zasady posłuszeństwa i istnienia obiektywnych wartości. Pod ciężkim ostrzałem krytyki znalazły się jednak także rodzina i naród – w nich bowiem również utrzymują się jeszcze dawne tradycje i zasady. Współcześni lewicowi „aktywiści” tańczą zaś na trupach społecznych, kulturowych, moralnych i religijnych norm, reguł i konwencji, głupkowato zakładając, że się od czegoś uwolnili i teraz już będą spokojni i szczęśliwi. Nie będą. Prędzej popadną w depresję, szaleństwo lub jakiś nałóg i popełnią samobójstwo. „Zwykła” samotność będzie tu jeszcze bodaj najłagodniejszym ze scenariuszy. Albowiem:

Kiedy nie ma już ani autorytetu religijnego, ani politycznego, ludzi zaczyna przerażać ich własna bezgraniczna niezależność. Ciągła niepewność niepokoi ich i męczy. Skoro w świecie duchowym wszystko nieustannie się zmienia, pragną przynajmniej, by w rzeczywistości społecznej wszystko było wyraźne i stabilne. Dlatego, nie mogąc wskrzesić dawnej wiary, dają sobie narzucić władzę. [...] wątpię, by człowiek kiedykolwiek zdołał żyć jednocześnie w stanie całkowitej niezależności religijnej i całkowitej wolności politycznej. Myślę zatem, że jeżeli brak mu wiary – musi być zniewolony, jeżeli zaś jest wolny – musi wierzyć[4].

Tak więc wolność potrzebuje autorytetu i wolność potrzebuje wzoru – inaczej upada pod własnym ciężarem i pożera samą siebie. Autorytet zaś wskazuje, gdzie i jak znaleźć ów wiarygodny i sprawdzony wzór. Ten zaś, jak naucza już najdawniejsza tradycja, nie jest arbitralny, tkwi bowiem w przepastnych głębiach natury ludzkiej. Przeczuwali to starożytni Grecy – o czym tak obszernie i przekonująco pisał Werner

Jeager w swej *Paidei* – a potem zgodzili się z tym w pełni chrześcijanie. „Cel życia człowieka – jak słusznie zauważa Artur Andrzejuk – nie jest dowolnie przez niego obierany; tkwi w naturze ludzkiej i jako coś istniejącego obiektywnie domaga się odkrycia; odczytania, a nie skonstruowania go przez człowieka. Odczytywanie rzeczywistości stanowi zadanie sprawności teoretycznych, dlatego też odkrycie celu naszego człowieczeństwa należy do mądrości, która jest najdoskonalszą z teoretycznych cnót intelektu”[5].

*Wolność potrzebuje  
autorytetu i wolność  
potrzebuje wzoru – inaczej  
upada pod własnym ciężarem  
i pożera samą siebie.  
Autorytet zaś wskazuje, gdzie  
i jak znaleźć ów wiarygodny i  
sprawdzony wzór*

My, chrześcijanie,  
oprócz pracy  
drażącego zakamarki  
duszy intelektu,  
mamy jednak także  
Objawienie. Mamy  
Chrystusa, będącego  
archetypem  
urzeczywistnionego  
człowieczeństwa.  
Mamy Tradycję z  
takimi perłami

ducha jak *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis, dziełami św. Jana od Krzyża czy *Kazaniami* Eckharta, dysponujemy mądrością intelektualną i duchową zarazem, sięgającą samego dna duszy ludzkiej, tej świątyni ciszy i prawdziwej Bożej samotności, o której piszą wielcy mistycy i pustelnicy. Dzięki owej *sophia* wiemy między innymi, że kto poszukuje oryginalności, ten z pewnością jej nie znajdzie – paradoksalnie bowiem jest nagrodą tylko dla tych, co mało albo wcale ją cenią. Kto wiele krzyczy, tego mało słuchają – on sam się w końcu słuchać przestaje, choć gardłuje coraz mocniej i prowokuje, jak się da i kogo. Trzeba tymczasem sobie wbić do głowy te słowa, które

zacytowałem na początku listu – mamy być ludzcy, a nie oryginalni. Jeśli oryginalność stanie się przy okazji naszym udziałem – dobrze, widać dar Boży: jeśli nie – też dobrze, może nawet lepiej, bo sprzyja ona próżności, gadulstwu i próżnemu wywyższaniu się! Taki jest bodaj sens nauczania św. Pawła, gdy powiada:

Niech nikt nie ma o sobie wyższego mniemania, niż należy, lecz niech sędzi o sobie trzeźwo – według miary, jaką Bóg każdemu w wierze wyznaczył. Jak bowiem w jednym ciele mamy wiele członków, a nie wszystkie członki spełniają tę samą czynność – podobnie wszyscy razem tworzymy jedno ciało w Chrystusie, a każdy z osobna jesteśmy wzajem dla siebie członkami (*Rz 12, 3-5*).

A jeszcze dobitniej wyraża się Apostoł w *Liście do Koryntian (1Kor 12-21)*: „Podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem. [...] Ciało bowiem to nie jeden członek, lecz liczne [członki]. Jeśliby noga powiedziała: «Ponieważ nie jestem ręką, nie należę do ciała» – czy wskutek tego rzeczywiście nie należy do ciała? Lub jeśliby ucho powiedziało: Ponieważ nie jestem okiem, nie należę do ciała – czyż nie należałoby do ciała? Gdyby całe ciało było wzrokiem, gdzież byłby słuch? Lub gdyby całe było słuchem, gdzież byłoby powonienie? Lecz Bóg, tak jak chciał, stworzył [różne] członki umieszczając każdy z nich w ciele. Gdyby całość była jednym członkiem, gdzież byłoby ciało? Tymczasem zaś wprawdzie liczne są członki, ale jedno ciało. Nie może więc oko powiedzieć ręce: «Nie jesteś mi potrzebna», albo głowa nogom: «Nie potrzebuję was»”.

*Różnorodność stanowi o bogactwie zarówno społecznego, jak i duchowego świata. Jeśli nie akceptujesz swego miejsca w społecznym ciele, to znaczy, że to ty masz problem – a nie owo ciało*

Oto stara, zupełnie „niedemokratyczna”, organiczna metafora Kościoła – jako prawzoru wszelkiej wspólnoty ludzkiej – w świetle której wyraźnie widzimy ideologiczną płyciznę

demokratyzmu i liberalnego sobiepaństwa. Uświęcone przez Chrystusa Ciało Człowieczeństwa musi pozostać wielorako zróżnicowane – także na części zaszczytne i mniej zaszczytne – a zarazem każda jego część musi zaakceptować swą funkcję. Owa różnorodność stanowi o bogactwie zarówno społecznego, jak i duchowego świata. Jeśli nie akceptujesz swego miejsca w społecznym ciele, to znaczy, że to ty masz problem – a nie owo ciało. Nie umiesz się pogodzić ze swą małością, przygodnością i niedoskonałością, czyli zapewne uległeś jakiejś jawnej bądź ukrytej formie *hybris*, egotyzmu czy wręcz megalomanii. A przecież ręka nie może powiedzieć głowie – usuń się!

Kolejną sprawą, której słusznie poświęcasz uwagę, bo jest warunkiem właściwego korzystania z wolności, jest stała, wyćwiczona zdolność do pohamowywania woli. Wola bowiem, sama w sobie, jest zachłanna i pożerająca – widzimy, jak na naszych oczach wysysa wręcz z życia całą naszą planetę, podobnie jak każdego z nas z osobna. Jeśli nie przywrócimy starej, duchowej sztuki jej poskramiania i umartwiania – zginiemy. I jednostkowo, i zbiorowo. To bowiem jest źródło wielkiego (wszelkiego?) zła: brak umiaru, obsesja „więcej”, lepiej, intensywniej, przyjemniej, nieumiejętność powiedzenia sobie – dość! Zapychamy

rozgrzaną gardziel woli czym się da, lecz ona nadal chce więcej. Siły, czas i życie znikają w niej jak w czarnej dziurze. Taka jest bowiem jej natura – im więcej dostaje, tym więcej pożąda. Kiełznanie jej urasta dziś do rangi prawdziwej sztuki życia. „Umartwienie woli” musi stać się przeto naczelnym postulatem moralnym i głównym ćwiczeniem duchowym nadchodzących dekad, podstawową sztuką, wiodącą do mądrości, spokoju i dobrego życia. A zatem: pokorny rozum i ujarzmiona wola. I popatrz: wszystkie te wywody doprowadziły nas do tego, o czym od początku nauczała chrześcijańska tradycja – dzięki Bogu nie okazaliśmy się oryginalni, chyba nie jest jeszcze z nami tak źle! I tego się trzymajmy ze wszystkich sił!

Serdeczności!

Bartek

\*\*\*

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza

I część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Europejczyk stał się istotą duchowo zamkniętą  
Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

II część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Sobór Trydencki powinien przyjąć dobre owoce  
Reformacji

Bartosz Jastrzębski: Protestantyzm wyniósł porządek świecki nad boski

III część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Poszukując Boga w ciemności i niewiedzy

Bartosz Jastrzębski: Religia, która nie tworzy sztuki nie jest prawdziwa

IV część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Gdzie iść po śmierci?

Bartosz Jastrzębski: Chrześcijaństwo całkowicie przenika duszę

V część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: O duchowej intuicji

Bartosz Jastrzębski: Bądźmy roztropni niczym węże

VI część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Serce – najgłębsza istota człowieczeństwa  
Bartosz Jastrzębski: Wewnętrzna przestrzeń spotkania z  
Transcendencją

VII część korespondencji:

Krzysztof Dorosz: Epifania Boga w świecie  
Bartosz Jastrzębski: Potrzeba nam serca rozumnego

VIII część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Wolność posłuszeństwa  
Bartosz Jastrzębski: Wolność jest drogą ku Bogu

IX część korespondencji

Krzysztof Dorosz: Twórcy rzeczywistości  
Bartosz Jastrzębski: Liberalizm jako odrzucenie obiektywnej prawdy

\*\*\*

[1] I. Babbitt, *Rousseau and Romanticism*, New York 1959, s. 62.

[2] A. Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, przeł. M. Król, Warszawa 1976, s. 296–297.

[3] Tamże, 276.

[4] Tamże, 286.

[5] A. Andrzejuk, *Człowiek i dobro*, Warszawa 2002, s. 47.